

Od autora: wspomnienia

cd.

Wiedziałem, że Krzychu jest dowcipnisiem, również nerwusem, ale żeby aż tak... Nerwus, cholerny nerwus! Zamiast ratować siebie, to jeszcze pograżył. Przecież nie jest szeregowym pracownikiem, powinien trochę głową ruszyć. Nie mógł coś wymyślić? Jak ten wiceszef w dziale socjalnym? Kiedy pół roku wcześniej przeprowadzono tam nagłą kontrolę i w szafce ubraniowej znaleźli flaszki po gorzale, to nie spanikował, tylko pomyślał. Zrobił notatkę, że to on poprosił pracowników, aby puste butelki przynieśli z domów, bo załoga spodziewała się dodatkowej dostawy oleju rzepakowego i przecież w coś trzeba będzie go rozlać. Zamiast nagany dostał jeszcze premię za inicjatywę i przezorność. A Krzychu co?!

Nie odzywaliśmy się przez chwilę. Wreszcie przerwałem ciszę:

– Czyś ty z byka spadł? Musiałeś?! Nie mogłeś stanąć, opuścić główkę, pokiwać nią, że już nigdy w pracy, ani ciut, ciut? Opierdol ci się należał, a ty z takim tekstem. Flaszkę na fraszkę zamieniłeś. Też bym chyba nie wytrzymał na miejscu szefa. Daj fajkę. – Wyciągnąłem do Krzyska rękę. – Dostałeś chociaż zwykłe wypowiedzenie?

– Nie. – Pokręcił głową. – Tak się wkurzył, że w kadrach odebrałem wilczy bilet. Dyscyplinarkę „za ciężkie złamanie obowiązków pracowniczych”. A tam – skrzywił się i machnął ręką – na szczęście nie mam rodziny na głowie. Robotę gdzieś znajdę, chociaż szkoda mi odchodzić po tylu latach. Muszę już iść. Cześć, Zdzisiek.

– Kurr... – zdusiłem w ustach przekleństwo, gdyż obok przechodziła koleżanka. – Ech... Trzymaj się. Wpadnij kiedyś, powiesz, co u ciebie.

– Jak będę miał z czym – uśmiechnął się krzywo. – Ty też się trzymaj.

„Jednak sowizdrzał z niego. Dostał dyscyplinarkę, a jeszcze żarty się go trzymają. Szkoda chłopca. Chociaż jest robotny, powinien sobie poradzić...” – roztrząsałem jeszcze przez chwilę po jego odejściu.

...Nie minął miesiąc, a Krzysiek odwiedził nas. Żeby tylko odwiedził – przyniósł dla działu dwie duże siatki cudownie pachnących pomarańczy. Pięknych, czerwonych, z Hiszpanii, jak nie omieszkał dopowiedzieć. Zresztą od razu było widać, że to nie kubańskie, które były małe i zielonkawe. Te pierwsze bardzo rzadko pojawiały się w sklepach. Te drugie, zwane „jajami Fidela”, częściej można było dostać, zwłaszcza przed świętami, jeżeli statek z Hawany zdążył na czas przypłynąć do Gdańska. Wtedy to była uroczysta pompa, nawet w telewizji leciały transmisje „z przypłynięcia”.

Podzieliliśmy „hiszpanki” sprawiedliwie, po dwie sztuki na pracownika. „Będzie święto w domach, nasze małe dzieciątka posmakują coś pysznego” – skonstatowałem z zadowoleniem.

Po zakończeniu damskich ochów i achów nad „kochanym Krzysiem”, pożegnał się z wszystkimi i kiwnął na mnie, wskazując na drzwi. Wyszliśmy.

– Żyjesz. No mów, co i jak? – ponagliłem go. – I skąd te pomarańcze?

– Pomarańcze? Stamtąd, gdzie teraz pracuję – roześmiał się w głos.

– Dostałeś pracę? U nas w mieście, czy w porcie? Te pomarańcze...

– U nas, w „Warmie”. – Ponownie się zaśmiał. – Jak widzisz, żyję i nie jest źle. Przyniosłem nawet koniaka dla dyrektora. W podzięce. – Tym razem zaśmiał się w kulak.

– Co ty pieprzysz? Odbiło ci?! Przecież wywalił cię z wilczym biletem. Zresztą, Bogiem a prawdą, należało ci się. A właśnie, jak dostałeś tam pracę z dyscyplinarką w rękę?

– Chłopie, gdyby mnie nie wywalił, to siedziałbym tu do usranej śmierci. Nie mam pretensji. A tak... należy mu się koniak.

– Zawsze byłeś zgrywus, ale teraz to przesadzasz. A zresztą – wzruszyłem ramionami – chcesz, to zanoś.

Nie wiem, czy przyjmie.

– Przyjmie, nie przyjmie, ale pójdę. Wyrzucił mnie i wpierw polazłem do „Warmy”, bo blisko ode mnie. Słuchaj, pokazałem im papiery, co robiłem tutaj. Od ręki, mówią, mam pracę, bo potrzebują właśnie doświadczonego na ekspedycję. Wiesz, robią te kuchnie okrętowe na statki i też u nich termin rzecz święta.

– Z dyscyplinarką, tak od razu? – Zaskoczył mnie.

– Noo... nie od razu. Dopiero jak powiedzieli, że przyjmują, powiedziałem o tym. Trochę też kadrowy zrobił oczy. Powiedziałem, jak było, jak na świętej spowiedzi. Kazał poczekać i wyszedł. Jak wrócił, powiedział, że jednak przyjmą, ale żadnego alkoholu, chociażby robota skończyła się minutę przed końcem roku. No to obiecałem.

Wypuściłem wolno powietrze z płuc. Kumpel w czepku chyba był urodzony...

– A forsa? I te pomarańcze, ze statku?

– Forsa? – Uśmiechnął się od ucha do ucha i powtórzył: – Forsa? Dostałem jeszcze stawkę wyższą niż tu! A pomarańcze, jasne że z portu. „Warma” ma też kontakty, tylko nad morzem, a nie w Krakowie. Przyniosłem, bo tyle lat dobrze nam się współpracowało. Tam co chwila dostają. Nie zubożęję.

– Masz cholerne szczęście, jak ta lala.

– No widzisz. Należy się koniak dyrowi? Przecież, gdyby mnie nie wyrzucił, siedziałbym tu dalej. A tak, mam nawet lepiej i bliżej robotę. Nie wiem, czy przyjmie, ale honorny jestem. Trzymaj się zdrowo.

Poszedł, a ja wróciłem do swojego pokoju. Biurko miałem przy samych drzwiach. Po kwadransie uchyliły się i ujrzałem roześmianą twarz Krzyśka.

– Wziął – szepnął do mnie, szelmowsko mrużąc oko. – Wpierw zrobił oczy, potem nie chciał, ale w końcu wziął. Tyle lat przecież pracowałem pod nim. Dusza człowiek. Cześć, lecę.

Krzysiek też był dusza człowiek. Nie można było takiego nie lubić. Żartowniś, a do tego koleżeński i uczynny innym.

Spotkałem go po kilku latach. Nie zmienił się, dalej rzucał dowcipami. Jak wspomniał, dotrzymał słowa danego kadrowemu w „Warmie” – nigdy już nie tknął alkoholu w pracy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Zdzisław, dodano 21.06.2019 19:48

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.